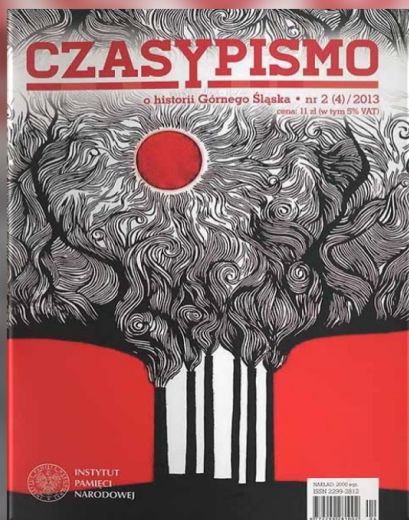


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/39262,W-Gliwicach-byalismy-traktowani-o-wiele-gorzej-niz-w-Oswiecimiu.html>



WSPOMNIENIE

„W Gliwicach byliśmy traktowani o wiele gorzej niż w Oświęcimiu”.

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: SEBASTIAN ROSENBAUM 07.02.2020

W 1944 r. powstały w Gliwicach cztery podobozy KL Auschwitz III (Monowitz) jako obozy pracy przymusowej przy miejscowych zakładach przemysłowych zatrudniające osadzonych w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. Stanowiły

element sieci kilkudziesięciu podobozów KL Auschwitz III w rejencji katowickiej.

Za sprawą brutalności esesmanów i panujących w obozach warunków cieszyły się one złą sławą, uchodząc za jedne z cięższych tego typu placówek. Nasza wiedza o codzienności tych obozów opiera się w dużej mierze na relacjach więźniów, zebranych przez pracowników Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu w latach 60.

Obóz nr I i Otto Moll

Cztery obozy gliwickie nosiły nazwy „Gleiwitz” i kolejne numery: AL (*Arbeitslager*) Gleiwitz I, II, III i IV. Pierwszy obóz istniał przy zakładach naprawczych taboru kolejowego, niedaleko stadionu sportowego, przy obecnej ul. Przewozowej. Wśród osadzonych dominowali Żydzi, ale można też było trafić na Polaków, Rosjan i Ukraińców, a także niemieckich kryminalistów, którzy na ogół pełnili funkcje kapo. Pierwszym komendantem został Otto Moll, zwany „Cyklopem”, zaledwie 29-letni Hauptscharführer (odpowiednik sierżanta sztabowego) SS. Zanim trafił do Gliwic, pracował w KL Sachsenhausen, a od 1941 r. w KL Auschwitz. W tym ostatnim obozie zajmował się kremowaniem ciał więźniów zagazowanych w komorach gazowych. W marcu 1944 r., gdy powstał AL Gleiwitz I, Molla skierowano na stanowisko komendanta tego obozu, na krótko jednak. Już w maju powrócił on do KL Auschwitz-Birkenau i tu przeprowadził akcję wymordowania Żydów deportowanych z Węgier (tzw. *Ungarn-Aktion*), jako szef krematoriów i komór gazowych w Birkenau. Żydzi z *Sonderkommando*, którzy pomagali w gazowaniu i kremacji, nazywali go „Malahamoves”, „Anioł Śmierci”. Po zakończeniu „akcji węgierskiej” z końcem 1944 r. Moll wrócił do Gleiwitz I i tu pozostał aż do ewakuacji obozu 18 stycznia 1945 r. Nawet na tle swoich kolegów z SS odznaczał się bezprzykładnym sadyzmem; zabijał osobiście, a jego morderstwa wyróżniały się osobliwym zrytualizowaniem i nierzadko seksualnym podtekstem. Osądzony w grudniu 1945 r., pół roku później został powieszony.

AL Gleiwitz I, gdzie Moll był kilka miesięcy panem życia i śmierci, liczył zwykle ponad tysiąc osadzonych; podczas ostatniego apelu, w przededniu „marszu śmierci” – 1336 osób – przede wszystkim Żydów z wielu krajów Europy. Pracowali oni w różnych warsztatach naprawy taboru.

AL Gleiwitz II, III i IV

Drugi podobóz KL Auschwitz w Gliwicach – AL Gleiwitz II – powstał nieco później niż ten oznaczony numerem I, bo w maju 1944 r., w miejscu gdzie po wojnie mieściły się zakłady „Carbochem” (przy ul. Pszczyńskiej). Podobóz dzielił się na dwie części: mniejszą, kobiecą (między 250 a 370 osadzonych) i większą, męską (między 250 a 760 osób). W obu przebywali głównie Żydzi europejscy: z Niemiec i Węgier, Austrii,

Czechosłowacji, Polski, Francji, Belgii, Holandii, Grecji, Jugosławii – była to mieszanka zupełnie obcych kulturowo grup, połączonych żydowskimi korzeniami, czego nierzadko sami więźniowie – zasymilowani już z narodami dominującymi w swoim kraju – nie odczuwali. Pracowali w fabryce sadzy gazowej, w skrajnie trudnych warunkach.

Podczas ewakuacji więźniów związanej ze zbliżaniem się Armii Czerwonej, w nocy z 18/19 stycznia 1945 r., Lätsch kazał podpalić barak chorych, gdzie przebywało 57 osób. Próbusujących uciekać przez okna esesmani ostrzelali.

Trzeci obóz – AL Gleiwitz III – powstał latem 1944 r. Tak zwana stara huta w Gliwicach była już unieruchomiona, ale na jej teren sprowadzono park maszynowy fabryki maszyn i wagonów Zieleniewskiego z Krakowa. Obóz zorganizowano celem zainstalowania i uruchomienia fabryki; następnie osadzeni w obozie mieli stanowić załogę zakładu. Kilkuset Żydów, głównie polskich, ale też grupka przerzucona tu z getta Theresienstadt (w Terezynie) oraz Polacy trudnili się produkcją zbrojeniową, m.in. wytwarzaniem min czy lawet do dział. W przededniu ewakuacji Gleiwitz III przebywało tu ponad 600 osób; opuściły one Gliwice 19 stycznia 1945 r.

Wreszcie w tym samym czasie – w lipcu 1944 r. – otwarto ostatni obóz: AL Gleiwitz IV. Więźniów – około czterysta osób – umieszczono w barakach przy dawnych koszarach gliwickich, w sąsiedztwie obozu dla jeńców sowieckich, a zatrudniano ich do różnych prac na terenie miasta, m.in. przy rozbudowie koszar czy pracach w porcie. Złą sławą cieszył się zastępca komendanta obozu, Unterscharführer SS, Otto Lätsch. Nie tylko katował więźniów i znęcał się nad nimi, ale kilku z nich zastrzelił z absolutnie błahych powodów: zabił na przykład trzech osadzonych, którzy w zimie podeszli do ogniska, gdzie podgrzewano beczkę ze smołą. Podczas ewakuacji więźniów związanej ze zbliżaniem się Armii Czerwonej, w nocy z 18/19 stycznia 1945 r., Lätsch kazał podpalić barak chorych, gdzie przebywało 57 osób. Próbusujących uciekać przez okna esesmani ostrzelali. Lätsch ujęty przez aliantów, przekazany został stronie polskiej, osadzony i w 1948 r. powieszony w więzieniu Montelupich w Krakowie.



Obozy oczami świadków

Relacje świadków osadzonych w czterech gliwickich podobozach KL Auschwitz III zebrali w latach 60. pracownicy Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Odbija się w tych opowieściach - wspominana z perspektywy kilkunastu lat - codzienność życia obozowego; podczas ich lektury rodzi się także pytanie o postawy drugiej strony: strażników obozowych, członków załóg obozu, przedstawicieli administracji zakładów, zwykłych robotników, wreszcie mieszkańcom Gliwic, obserwujących przechodzące do pracy kolumny więźniów.

Relacja Józefa Szymczaka

Józef Szymczak z Kazimierza, (ur. 1914), Polak, został schwytany przez gestapo za pomoc udzielaną jeńcom sowieckim. Skierowano go do KL Auschwitz, a stamtąd w maju 1944 r. do AL Gleiwitz I. Obóz był wówczas w trakcie budowy, wznosili go więźniowie, stopniowo zwożeni do Gliwic. Zbudowano jedenaście drewnianych baraków dla ok. 1000 więźniów.

„W jednym z baraków mieściła się kuchnia i tzw. łaźnia, w której znajdowało się długie koryto z kranami. W «łaźni» tej była zwykle tylko zimna woda (bardzo rzadko ciepła), można się tam było myć gliniastym mydłem lub przeprać swoją odzież. Łaźnia dostępna była dla nas po powrocie z pracy, przed apelem wieczornym. W osobnym baraku znajdowała się «izba chorych», w której przyjmował lekarz Niemiec, bardzo wrogo do nas nastawiony. Zwykle wyganiał zgłaszających się do niego więźniów, bił ich, krzycząc, że symulują chorych. Okaleczenia i rany zasypywał jakimś proszkiem i tak opatrzonym chorym więźniom kazał iść do pracy. (...)

Wyżywienie otrzymywaliśmy trzykrotnie w ciągu dnia. Wczesnym rankiem, przed wymarszem do pracy, wydawano nam po kawałku chleba. Podczas ok. 30 min. przerwy w pracy otrzymywaliśmy obiad, tzn. $\frac{3}{4}$ l zupy z żyta lub brukwi, którą dowożono nam z kuchni obozowej. Zupę nalewał nam do misek kapo, który bił więźniów chochlą po głowie i «gdzie popadło». Zupę wypijaliśmy wprost z misek (miski nosiliśmy przy sobie, zawieszane na pasku) lub jedliśmy ją drewnianymi łyżkami (łyżki trzeba było sobie zrobić we własnym zakresie). Na kolację podawano nam suszone wytloki z brukwi. Racje żywnościowe (...) były głodowe. Wśród nas było dość dużo «muzułmanów», w jakich przemieniali się przeważnie Żydzi belgijscy, niemający żadnych źródeł dodatkowej żywności. Niektórzy z więźniów dostawali paczki od swoich rodzin, które przesyłane były na pocztę do Gliwic, stamtąd zabierane przez więźniów do obozu i rozdzielane podczas apelu pomiędzy adresatów. (...)

Po apelu porannym, ok. godz. 5, wyprowadzani byliśmy przez prowizoryczną drewnianą bramę poza obręb obozu. Przy bramie wychodzącym do pracy więźniom grała orkiestra, składająca się z kilku więźniów zatrudnionych w kuchni. Szliśmy piątkami pod nadzorem esesmanów i kapo. Musieliśmy śpiewać różne piosenki (wolno było śpiewać po polsku). (...) Do pracy szliśmy boso, drewniaki mieliśmy w rękach. Niektórzy więźniowie próbowali podkładać pod stopy tektury, lecz esesmani bili za to. Napotkani po drodze ludzie (maszerowaliśmy przez miasto) patrzyli w naszym kierunku z ciekawością, niektórzy ze współczuciem. Esesmani wyjaśniali im, że jesteśmy «niebezpiecznymi bandytami»”.

Większość z robotników cywilnych była względem nas nastawiona bardzo przychylnie. O ile tylko pozwalały na to okoliczności, starali się w różny sposób nam pomagać. Pomagały nam również zatrudnione w zakładach dziewczęta. Po kryjomu przynosiły nam chleb, piwo, a nawet gazety.

Podczas pracy strzeżeni byliśmy przez esesmanów, którzy zwykle stali przy drzwiach, oraz przez kapo, którymi byli przeważnie Żydzi czescy. (...) Większość z robotników cywilnych była względem nas nastawiona bardzo przychylnie. O ile tylko pozwalały na to okoliczności, starali się w różny sposób nam pomagać. Pomagały nam również zatrudnione w zakładach dziewczęta. Po kryjomu przynosiły nam chleb, piwo, a nawet gazety. Ja nawiązałem kontakt z obecną moją żoną, która pracowała przy obsłudze młota parowego. Porozumiewałem się z nią w ten sposób, że pisałem kredą na blasze i kładłem ją na odwrotną stronę. Ona wykorzystywała dogodną sytuację i odczytywała to, co napisałem, a następnie kredę ścierała. W umówionych tą drogą miejscach pozostawiała dla mnie chleb. W dużym stopniu jej to właśnie zawdzięczam przeżycie obozu.

(...) Raz jeden z więźniów zasnął podczas pracy w wagonie. Esesmani i kapo zbili go okrutnie naprzód na miejscu pracy, a później bili go żelaznym prętem podczas apelu. Na drugi dzień więzień ten został powieszony (w obozie znajdowała się przenośna szubienica)".

Świadectwo Heleny Chmielewskiej

Działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej z Czeladzi, Helena Chmielewska (ur. 1904), została aresztowana w maju 1941 r. i umieszczona w obozie w Bohuminie, skąd wiosną 1943 r., w dwuosobowej grupie, przewieziono ją do Gliwic, do obozu pracy przymusowej, w kolejnym roku przekształconego w obóz AL Gleiwitz I. W relacji z 1967 r. mówiła:

„Od czasu do czasu esesmani przychodzili do nas i sprawdzali, czy w kuchni oraz w pomieszczeniach mieszkalnych panuje porządek. Zdarzało się również, iż w biurze obozowym wypijali oni duże ilości alkoholu. Wówczas niektórzy z nich wychodzili z biura i po pijanemu gwałcili wybrane przez siebie kobiety”.

Chmielewską skierowano do pracy w kuźni.

„Już w pierwszym tygodniu pracy w kuźni urządzenia sterownicze młota parowego wyrwały mi się z rąk – co doprowadziło do wstrzymania i zniszczenia roboty rozpoczętej przez majstra Fuchsa. Bezpośrednio potem majster, ze złością, wepchnął mnie do dołu z odpadkami metalowymi. Wskutek upadku doznałam złamania ręki, żebra oraz wybicia czterech zębów. (...) Na ogół majstrowie Niemcy traktowali mnie i moje koleżanki – zatrudnione w kuźni, w sposób brutalny. Niemcy pracowali na akord i dlatego wymagali od nas, Polek i

więźniów Żydów, dużej wydajności. Często nie mogliśmy sprostać tempu narzucanemu przez majstrów i wówczas utrudniałyśmy im robotę. (...) W takich i podobnych przypadkach Niemcy bili nas, kopali, popychali, maltretowali. (...) Bezwzględny i nieludzki był również majster oddziału, to znaczy - Hahn. (...) Niektórzy Niemcy ustosunkowywali się do nas w sposób bardziej ludzki niż ich koledzy. Na przykład Niemiec Paul (imię) nigdy mnie nie pobił, chociaż niejednokrotnie miał powody. Czasem natomiast przynosił mi on nielegalnie żywność (...)"

Chmielewska zauważyła, że o wiele gorzej traktowano Żydów, których „nieustannie maltretowano”, gdy wykonali pracę niewłaściwie

„bito ich i kopano niejednokrotnie do utraty przytomności. (...) Pewnego razu, gdy przechodziłam od okienka w kierunku stołu niosąc miskę zupy, jeden z esesmanów zwrócił się do mnie z zapytaniem, dlaczego korzystam z drugiej porcji (...). W odpowiedzi na moje wyjaśnienie, że wzięłam tylko jedną porcję (...), esesman uderzył mnie w twarz. Straciłam równowagę. Miska z zupą wypadła mi z rąk. Wówczas podbiegł w moim kierunku nieznany mi bliżej więzień - Żyd - i zaczął z ziemi zbierać ręką pozostałości zupy i resztki te spożywać. Esesman obrócił swoją uwagę na Żyda i w brutalny sposób pobił go oraz skopał. Więzień przez chwilę leżał na ziemi i nie podnosił się. Ja w międzyczasie uciekłam i ukryłam się przed oczyma hitlerowca”.

Przypadki pomocy Żydom także skutkowały represjami ze strony SS.

„Więźniowie pozostawiali na uboczu zużyte puszki od konserw. Niektórzy Niemcy oraz robotnicy przymusowi, np. Polacy nalewali Żydom w ukryciu do tych puszek dodatkowe porcje zupy. Często esesmani i inni hitlerowcy katowali więźniów, gdy zauważyli, że korzystają oni z tego rodzaju pomocy”.

Relacja Anny Moszkowicz

Anna Moszkowicz, Żydówka (ur. 1918), pracowała w Sosnowcu jako gorseciarka. Wiosną 1943 r. została aresztowana i wywieziona do obozu Birkenau, skąd po kilku miesiącach skierowano ją do przekształconego właśnie w filię Auschwitz obozu pracy w Gliwicach przy ul. Pszczyńskiej, przy fabryce sadzy. W relacji złożonej

w 1962 r. opowiadała:

„Władze esesmańskie były wspólne dla całego obozu [tzn. dla oddziału kobiecego i męskiego – red.]. Na czele stał Lagerführer. Pod koniec 1944 r. funkcję tę pełnił przybyły do naszego obozu z Monowic SS[-man] Schwartz. Charakterystycznym było, że bez pejcza czy rewolweru po obozie się nie poruszał. (...). Prawie każdy apel połączony był z torturowaniem więźniarek. W dużym stopniu kopaniem i biciem postugiwała się też Lagerführerin. (...) Wraz z przybyciem SS SS[-mana] Schwartza lub krótko przed tym zmienił się prawie cały personel władz obozowych. Wszyscy przyjechali z Oświęcimia. Przywieziono stamtąd nawet *Judenälteste* [przełożoną Żydówek – red.]. Była Słowaczką, na imię miała Bela. Z więźniarkami obchodziła się nieludzko. Często były przez nią katowane. Kiedy raz w obecności Schwartza uderzyła więźniarkę w twarz – ten powiedział: «do bicia powołany jestem ja, a nie ty!» (...)

Mnie pierwszą przeszkolono i przydzielono do obsługi aparatury o nazwie *Verdampfer* [aparatura do preparowania antracytu, siarki i olejów]. Przeszkolenie przechodziłam u obermeistra, którego nazwiska nie pamiętam, a którego nazywaliśmy «Nochalem». Za każde przewinienie straszył nas Oświęcimiem i krematorium. W podobny sadystyczny sposób obchodził się z nami majster mechanik Ludwig i majster mojej zmiany Obermüller, który przybył z Dortmundu. Jeśli któraś z nas zdrzemnęła się chwilę podczas zmiany nocnej – oblewał ją wiadrzem zimnej wody. (...) Praca moja była ciężka i wyczerpująca. Odpady oleiste, które ściągało się z aparatury, miały 300° temperatury. Wylewałyśmy je do specjalnego zbiornika na terenie przyfabrycznym. Wynosiło się je w kubłach. Mimo iż miałyśmy długie rękawice, nie chroniły one od poparzeń. W chwili wnoszenia jednego z kubłów część zawartości wylała mi się na nogę. Doznałam ciężkiego oparzenia. Mimo to z dużą temperaturą musiałam chodzić do pracy. (...)

Dyrektorem technicznym fabryki był dr chemii – Schenk. Dobrze obchodził się z więźniami. Zależało mu na sile produkcyjnej, dlatego chyba dbał o więźniów. Jemu zawdzięczałyśmy przydział mydła toaletowego. Gdy wracałyśmy z pracy do obozu, robiono nam prowizoryczny apel i szłyśmy do baraku łaźni do kąpeli. W pierwszym pomieszczeniu zostawiałyśmy brudne kombinezony, w drugim kąpałyśmy się, a w trzecim ubierałyśmy pasiaki. W momencie, gdy kąpałyśmy się, często przychodzili do łaźni esesmani. Zdarzały się wypadki, że bili pejcami nagie kobiety. Ja mam bliznę po rozcięciu pejczem czoła. Po kąpeli wychodziłyśmy na właściwy apel. Zarządzano go czasem w momencie, gdy byłyśmy jeszcze nieubrane – nawet w zimie w takich wypadkach trzeba było wybiec na apel tylko w samym, narzuconym w pośpiechu pasiaku”.

Relacja Franciszki Różany (Zajdman)

W nieco podobnych okolicznościach do żeńskiego obozu przy fabryce sadzy trafiła Franciszka Różany

(Zajdman), urodzona w 1912 r. w Sosnowcu.

„Byłyśmy pierwszym transportem kobiecym. Kobiety, jak się później dowiedziałyśmy, przywieziono na próbę. Władze niemieckie fabryki nie były pewne, czy kobiety będą się nadawały do pracy przy produkcji sadzy – jako że jest to praca bardzo ciężka, przekraczająca siły kobiety. (...) Uczył nas tej pracy majster Niemiec nazwiskiem Saks. Był to człowiek o zapatrywaniach antyhitlerowskich. W fabryce przebywał krótko. Po przeszkoleniu nas zaraz wyjechał. (...)”

Każdego dnia rano kapo dozorujące pracy na zmianach dziennych i nocnych (...) dosłownie biły się o ilość produkcji. Któregoś dnia jeden z esesmanów – Unterscharführer (nazwiska nie pamiętam), zabrał dwie bijące się kapo – Balbinę Grylach i Marię Kilberg – na wartownię i powiedział: «Bijesz się, Bala, codziennie o produkcję, a czy ty wiesz, przeciwko komu ona jest przeznaczona?»”.

Również Różany-Zajdman wspominała dyrektora fabryki sadzy.

„Schenk był to człowiek stanowiący dla nas, więźniarek, dużą podporę. Odnosił się do nas bardzo przyjaźnie. Zawsze starał się wszystkich bronić – szczególnie starsze kobiety. Nigdy z żadnego donosu majstrów nie robił użytku. Chcąc dać starszym kobietom lżejszą pracę, zorganizował im wydzielenie małej działki ogrodniczej, którą mogły uprawiać. Początkowo wszystkim nam mówił per «pani». Później, gdy nasz obóz pracy przekształcono w filię obozu koncentracyjnego Oświęcim, dostał polecenie od SS, by mówić nam per «ty». W okresie przejmowania obozu przez SS odebrano nam wszystkie nasze prywatne rzeczy. Niektóre dziewczęta część swych rzeczy ukryły u Schenka w biurze. (...) W momencie gdy nas ewakuowano z obozu [18 stycznia 1945 r.] Schenk polecił otworzyć magazyny i zabrać ze sobą ciepłą bieliznę, odzież, koce i żywność. Gdy wychodziłyśmy z obozu – płakał. W chwili ogłoszenia ewakuacji dwóch więźniów Żydów ukryło się w rurach kanalizacyjnych na terenie fabryki, gdzie znaleźli ich obermeister Rolheifel i majster Ludwig. Przyprawdzili zbiegów do Schenka, aby ich ukarał. Po odejściu majstrów Schenk powiedział: «Dam wam wartownika, który będzie miał polecenie odprowadzić was do obozu, ale będzie bez broni. Pobijcie go i uciekajcie.» Tak zrobili, ukryli się i uchronili przed ewakuacją. Kiedy po trzech dniach Gliwice zostały oswobodzone przez Armię Czerwoną, więźniowie ci zaświadczyli, że Schenk był dobrym człowiekiem. Wiadomo mi, że Schenka wywieziono do ZSRR. (...)”

Wiosną (kwiecień lub maj) 1944 r. dowiedziałyśmy się, że do obozu przybyło SS. Pod koniec dopołudniowej zmiany kilku esesmanów przyszło do fabryki. Spędzili wszystkie więźniarki, przeliczyli i poprowadzili do fabryki. Wszystkie rozebrano do naga i po przeglądzie oraz dezynfekcji ubrano w pasiaki. Był to dla nas straszny moment. Odebrano nam całą własność prywatną, łącznie z odzieżą i bielizną. W zamian za to dostałyśmy pasiaki i grubą ordynarną bieliznę obozową. Może dlatego, że w tym dniu panował upał – odczułyśmy to tym dotkliwiej. Dwie młode dziewczyny odebrały sobie życie, nie mogąc pogodzić się ze

zmianą. Wtedy właśnie dowiedziałyśmy się, że dotychczasowy obóz pracy został przejęty przez SS i odtąd obóz ten jest filią obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. (...) Mężczyzn ostrzyżono, nas nie. Po dwóch dniach przyjechali z Oświęcimia więźniowie Polacy, którzy tatuowali nam numery obozowe. Ja otrzymałam nr 79 207. Kobietom tatuowano numery małe, nierzucające się w oczy. Mimo, że byłyśmy Żydówkami numery otrzymałyśmy bez litery A.

Po przejęciu obozu SS zaczęło wprowadzać swoje «porządki». Druty ogrodzenia podłączono do prądu elektrycznego. Dobudowano nowe baraki, a stare wybielono i powiększono wewnątrz sale. Praktycznie każda zmiana pracująca w fabryce miała swój barak. W nowym baraku mieściło się 116 kobiet. (...)

Latem 1944 r. dowieziono z Oświęcimia około 100 Żydówek węgierskich. Były to kobiety w wieku 18-30 lat. W ogóle w naszym obozie przeważały kobiety młode. Większość stanowiły Żydówki polskie. Nadto były jeszcze Żydówki węgierskie, czeskie, jugosłowiańskie, 2 francuskie i 2 Austriaczki (dwie siostry, które pochodziły z rodziny mieszanej – ojciec Żyd, matka Austriaczka). Jedna z Francuzek, Anette Rot, była z pochodzenia Rosjanką. Została po raz pierwszy aresztowana jako studentka za udział w demonstracji. Była członkiem partii komunistycznej. Aresztowana została za udział w partyzantce. (...) Z zawodu była inżynierem chemikiem. W Gliwicach pracowała w laboratorium fabrycznym dr. Schenka. Przez okres 8 miesięcy uczyła Schenka języka rosyjskiego. (...)

W fabryce był obermeister nazwiskiem Rolheifel, który był bardzo niehumanitarny. Więźniarki z racji jego ciągłych krzyków na hali bały się go. (...) Opowiedziałam o wszystkim dyrektorowi Schenkowi. Po rozmowie z Schenkem obermeister sam pierwszy się odezwał, twierdząc, że przecież podniesiony głos to jego normalny sposób bycia i nie powinnam się o to obrażać. (...) Nie byłyśmy zastraszone, a to przecież miało w obozie duże znaczenie. (...)

Kontakty z obozem męskim przysparzały wiele trudności. Nie było mowy, by któryś z wartowników pozwolił oddalić się poza obóz. Jeden z esesmanów często opowiadał mi różne polityczne antyhitlerowskie kawały. Sądziłam, że z przekonania nie jest gorliwym wartownikiem, i któregoś dnia powiedziałam mu «Ja wyjdę za druty – a ty tego możesz nie widzieć». Odpowiedział: «Uważaj dziewczyno, moja 'narzeczona' (karabin) celnie i daleko mierzy». (...)

Jeden z Lagerführerów chciał wszystkie starsze kobiety pracujące przy uprawie działki ogrodniczej odesłać do Oświęcimia jako nieproduktywne. Gdy dowiedział się o tym Schenk, po porozumieniu się z lekarzem (...) oświadczyli Lagerführerowi, że wszystkie te kobiety są zdolne do pracy. Ogrodnictwo zostało zlikwidowane, wszystkie zostały zabrane do fabryki, gdzie odkurzały aparaty. Wszystkie w ten sposób uratowano”.

Relacja Ignacego Sobczaka

Ignacy Sobczak z Woli Kleszczewskiej (powiat Łask, województwo łódzkie) został skierowany do KL Auschwitz

III w czerwcu 1943 r., skąd ponad rok później przeniesiono go do AL Gleiwitz III przy „starej” hucie. Ulokowano tam, jak wspomniano, zakłady produkcji silników Zieleniewskiego, ewakuowane z Krakowa.

„W obozie zastaliśmy przebywających tu od dłuższego już czasu kilkuset więźniów. Byli to przeważnie Żydzi, pochodzący z różnych krajów Europy, m.in. z Niemiec. (...) Przeciętnie przebywało tam ok. 700-800 osób. (...) Polaków nie było tu więcej jak 100. (...) Więźniowie byli tu bardzo wygłodzeni i wychudzeni. Dostyc często zdarzały się wypadki śmierci wśród więźniów. Sądzę, że do wypadków tych dochodziło z różnych przyczyn, nie tylko z powodu panującego w obozie głodu. Wiem, że zwłoki zmarłych więźniów wywożono ciężarówką poza obóz. Pewnego razu skrajnie wygłodzonych współtowarzyszy z mojego bloku «zorganizowało» w jednym z magazynów mączkę (najprawdopodobniej kukurydzianą) w celu upieczenia z niej placków. Esesmani dowiedzieli się o tym i za karę zmusili »winnych przestępstwa« więźniów, mnie oraz wielu innych kolegów z bloku, do odbycia karnych ćwiczeń, zwanych «żabką». «Żabka» trwała ponad godzinę. Hitlerowcy w brutalny sposób pobili nas wtedy i skatowali. Często esesmani bili więźniów i kopali za pozorne wykroczenia lub bez powodu. (...)

Sądzę, że każdy były więzień z «Gleiwitz III» pamięta epizod, który miał miejsce tuż przed ewakuacją tego obozu, gdy front zbliżał się już do Gliwic. W okresie tym, podczas przerwy obiadowej, Lagerführer zwrócił się do nas z krótkim przemówieniem. (...) Wyjaśniał nam, że Niemcy znajdują się obecnie w sytuacji niewiele lepszej niż więźniowie. Na dowód tego spożył on razem z nami jedną z obozowych racji obiadowych. W międzyczasie zaznaczył, że nie powinniśmy się skarżyć na nieuniknione trudności”.

Relacje Szulima Zanga i Mayera Zelmana

Szulim Zang z Nowego Dworu (ur. 1917 r.), skierowany do KL Auschwitz-Birkenau z getta w Białymstoku; w Brzezince stracił całą rodzinę. Przez jakiś czas pracował w KL Auschwitz I, aż we wrześniu 1944 r. trafił do AL Gleiwitz I.

„Podkreślam – relacjonowałam w 1969 r. – że w Gliwicach byliśmy traktowani o wiele gorzej jak w Oświęcimiu. Podczas gdy w obozie macierzystym, w związku z olbrzymią liczbą innych więźniów, można było w sprzyjających warunkach uniknąć bicia, w Gliwicach było to niemożliwe. Dosłownie na każdym kroku, zarówno w obozie, w drodze do pracy, jak i na miejscu pracy, bili nas (przeważnie gumowymi pejcami lub pięściami) esesmani oraz więźniowie funkcyjni, niemieccy kryminaliści. [...] Robotnicy cywilni - wspominał dalej Zang – byli do nas ustosunkowani przychylnie. Osobiście doznałem pomocy od jednej z zatrudnionych w hali kobiet, która kilkakrotnie zostawiła dla mnie w wagonie chleb z marmeladą”.

Mayer (Marian) Zelman z Łodzi (ur. 1919), osadzony od sierpnia 1944 r. w AL Gleiwitz IV, relacjonował, że co 3-4 tygodnie esesmani dokonywali selekcji więźniów.

„Niezdolnych do pracy, skrajnie wycieńczonych i chorych” wywożono do Oświęcimia – do zagazowania. Na ich miejsce przybywali nowi. Zwłoki zmarłych bądź zamordowanych w obozie wywożono do krematorium; przed wywiezieniem leżały one „w dole wypełnionym chlorkiem i wapnem”.

Zelman w swojej relacji z 1967 r. próbował zinterpretować „filozofię” pracy komendanta obozu, Lagerführera Grübnera:

„Utrzymywał ostrą dyscyplinę w obozie, tak wobec więźniów, jak i esesmanów. Był on człowiekiem bardzo surowym i w swoisty sposób sprawiedliwym. Chodziło mu o wykazanie się wobec swoich władz zwierzchnich efektami pracy więźniów. Chciał, aby więźniowie wykonywali plany budowlane firm, w których ich zatrudniano. W związku z tym dążył do tego, aby więźniowie wychodzili z obozu na stanowiska robocze jako ludzie zdolni do pracy, a nie zmaltratowani i pobici. Z drugiej strony jednak Grübner wykańczał tych więźniów, którzy do pracy się nie nadawali. Esesmani natomiast, poza plecami Lagerführera, traktowali więźniów w sposób jak najbardziej brutalny”.

Nie tylko esesmani nadzorowali osadzonych w obozie Gleiwitz IV. Ponieważ niektórzy osadzeni pracowali na rzecz firm budowlanych podlegających *Organisation Todt*, także jej członkowie sprawowali kontrolę nad pracującymi, ale tylko w miejscach ich zatrudnienia. Zelman wspominał jednego z funkcjonariuszy OT, majstra Gustawa Günthera:

„Stale nosił przy sobie pistolet. (...) wciąż bił i kopał więźniów. Był względem nas jeszcze bardziej brutalny niż esesmani. To on spisywał numery więźniów jego zdaniem zbyt wolno pracujących i numery te przekazywał Lagerkapo. W wyniku jego doniesień Lagerkapo i Rapportführer (...) wymierzali więźniom w obozie, w nocy, karę chłosty”.

W jakich okolicznościach dochodziło do morderstw na więźniach, ukazuje inny fragment relacji Zelmana:

„Hitlerowcy zatrudniali tam wówczas dwóch więźniów braci. Jeden z nich (...) chorował na krwawą biegunkę. W związku z tym poprosił pewnego razu swego nadzorcę o zezwolenie na odejście «na stronę». Wówczas Posten [straż] kazał jego bratu zdjąć mu czapkę i rzucić ją przed siebie. Chory musiał pobiec za czapką. Wtedy Posten zastrzelił go. Zwłoki więźnia przenieśliśmy do obozu. Na apelu wieczornym Schreiber [pisarz] obozowy zapomniał odpisać zastrzelonego ze stanu liczbowego więźniów. Wskutek tego rano w dniu następnym musieliśmy zwłoki zastrzelonego zanieść z powrotem na miejsce pracy i wykonać za niego normę”.

Tych kilka relacji rzuca mocne światło na realia gliwickich podobozów; ilustruje, jak silnie niewolnicze wykorzystanie pracy przymusowej, odbywające się w cieniu Zagłady, splatało się w jeden węzeł z instynktem likwidatorskim załóg obozowych – a w sadyzmie i brutalności esesmanów osobliwie odbijała się nazistowska idea niemieckiego nadczłowieka.

Tekst pochodzi z numeru 2(4)/(2013 „CzasyPisma”

COFNIJ SIĘ